

Roman Tabisz

część I z II

Sygnatura notacji: **N0662**

Data urodzenia: **22.11.1951 r.**

Data nagrania: **09.01.2025 r.**

Miejsce nagrania: **dom świadka, Rzeszów, Polska**

Prowadzący rozmowę: **Grzegorz Łeszczyński**

Czas nagrania: **część I: 60 min, część II: 36 min**

Format nagrania: **video**

Język nagrania: **polski**



TRANSKRYPCJA



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

Roman Tabisz: Witam wszystkich. Urodziłem się w 1951 roku 22 listopada w Jasienicy Rosielnej na Podkarpaciu. Jasienica to malowniczo położona gmina zlokalizowana około 10 km od Brzozowa, około 20 km od Krosna. Pierwsza historyczna wzmianka o tej miejscowości pochodzi z XV wieku. Są to tereny, na których Kazimierz Wielki w XIV wieku lokował miejscowości. Budowano tam kościoły, takim przykładem jest kościółek w Bliznem, do dzisiaj wpisany na listę UNESCO, jest znakomicie odrestaurowany, pokazujący, że ta społeczność żyła wiarą Kościoła rzymskokatolickiego od wieków. O prawach przez wieki tych miejscowości decydowały rody, które były właścicielami, takie jak Kamieniecy z Odrzykonii, Wierzbowsky, Załuccy, Firleje i na końcu Wysoccy. Rody te troszczyły się o prawa, nawet Jasienica miała prawa miejskie, ale ludność pozbawiona była wykształcenia. Pierwsza szkoła, która mogła mieć pełne siedmioletnie wykształcenie, powstała dopiero w 1911 roku. Ta społeczność, przekazując przez wieki zasady wiary i etyki katolickiej, żyła rokiem liturgicznym, żyła przekonaniem, że poprawa swojego losu, który nie był tam łatwy, ponieważ ziemia nie jest bardzo wydajna, uprawiano tam czasami len i rzemiosło. Ludzie byli przekonani, że należy być prawym człowiekiem. Po tych latach przekazu tego, że należy być odważnym, że należy być roztropnym. Na przykład mój dziadek Aleksander, pamiętam to do dzisiaj, powiedział mi jako chłopakowi: „Romek, pamiętaj, jeżeli gdzieś coś rozdają za darmo, to tam jest ukryty bardzo niebezpieczny podstęp”. Mówię o tym wszystkim dlatego, że zaczerpnąłem jako młody człowiek z tego źródła. Cechy charakteru, które się tam zaczęły kształtować, były istotne przez całe moje życie i zaangażowanie i społeczne, polityczne, i zawodowe. I jak to znamy z przysłowia, czym skorupka za młodu nasiąknie itd. Rodzice moi pobrali się w 1950 roku po bardzo różnych doświadczeniach II wojny światowej. Ojciec przez pewien czas ukrywał się w Jasienicy, ponieważ chciał uniknąć wywiezienia na roboty do Niemiec jako chłopiec.

Mama pracowała w Krakowie, będąc opiekunką dziecka w rodzinie lekarza, a także pracując w kwiaciarni. Po wojnie rodzice zamieszkali w Poznaniu. Mama nadal była opiekunką, a ojciec w Gorzowie, ponieważ uchylał się od wcielania do armii kościuszkowskiej. Dopiero wrócił do Jasienicy po ogłoszeniu amnestii. Rodzice, pobierając się, nie dysponowali żadną rolą uprawną. Pobrali się w takiej sytuacji, w której źródłem utrzymania miał być warsztat krawiecki mojego ojca, który został założony, ponieważ ojciec nabył kompetencje w znakomitym warsztacie krawieckim Józefa Czosnowskiego w Poznaniu. I ja w takich okolicznościach, kiedy rodzice wynajęli dom, nie uprawiali roli, ojciec miał warsztat, urodziłem się i nie miałem żadnych tradycji w rodzinie opozycyjnych czy politycznych, czy społecznych. Moja świadomość obywatelska i polityczna narastała przez wszystkie etapy mojego rozwoju. Od przedszkola po wyższą uczelnię we Wrocławiu. I tak od 1956 roku przez dwa lata do 1958 byłem w przedszkolu prowadzonym przez siostry służebniczek. Zapamiętałem doskonale, do dzisiaj pamiętam znakomitą siostrę Ludmiłę, ale zapamiętałem też pierwszy sygnał, który niespodziewanie pojawił się, i do dzisiaj go pamiętam o sytuacji politycznej. Siedzieliśmy w pomieszczeniu przedszkola po turecku i słuchaliśmy z radia bajki o Koziołku Rududu. W pewnym momencie przerwano tę recytację i w tle, w radiu, na tle szumu silnika samolotu, powiedziano taki komunikat: „Towarzysz Bierut zmarł w Moskwie i wraca do kraju”. To był pierwszy komunikat, w którym zarejestrowałem jako młody, młodziuteńki chłopiec, że jest jakaś Moskwa i są jacyś towarzysze. Od 1958 roku do roku 1965 uczęszczałem do siedmioklasowej szkoły podstawowej w Jasienicy Rosielnej. I w czasie tej nauki odebrałem trzy bardzo mocne sygnały, które wskazywały mi na to, że coś w tym kraju jest nie tak. Pierwsze: przeżyłem usunięcie religii ze szkoły. To był cały proces, w którym portrety ze ścian ściągano, wieszano tam Marks, Engels i Lenin. Przeszliśmy do salek katechetycznych. Drugim sygnałem to był pierwszy pogrzeb niekatolickiego kierownika szkoły. I w końcu trzecim sygnałem, bardzo drastycznym dla mojej rodziny, to była likwidacja warsztatu prywatnego krawieckiego mojego ojca w taki bardzo perfidny sposób, to było nasze źródło utrzymania, że najpierw zmuszono ojca do tego, aby warsztat wpisał do Spółdzielni Inwalidów w Brzozowie, a następnie ta spółdzielnia narzuciła mu, żeby szyć tylko ubrania dla chłopców. Takie jak do komunii pierwszej itd. W tym momencie tyle samo pracy jest przy takim ubranku jak przy innych. I on miał tylko tę możliwość zrobienia. Likwidowano nam firmę oraz podstawę życia rodziny. To był dla mnie taki duży w szkole podstawowej wstrząs. Ojciec jakoś się uratował, ponieważ zaraz w 1948 roku, jak wrócił po amnestii, ukończył kurs kierowników placówek kulturalnych w Rzeszowie. I dzięki temu, ponieważ organizowano kino objazdowe w Jasienicy, został pracownikiem tego kina i mieliśmy z czego żyć. W szkole podstawowej doznałem inspiracji, która spowodowała, że moim zawodem była elektronika. To było bardzo ciekawe, bo co jest ważne, że ten etap inspiracji, który na poziomie szkoły podstawowej może zdecydować o losach w dalszym życiu, jest bardzo ważny nawet dzisiaj. Ten sposób, w jaki nauczyciel fizyki nas zainteresował elektroniką, polegał na tym, że on przyniósł garść elementów na lekcję fizyki elektronicznych, wysypał to na biurko i powiedział: „Słuchajcie, za tydzień mamy następną lekcję, ja przyniosę te elementy zmontowane, zapakowane do obudowy i będzie grało radio”. A radio było tylko wtedy u siostr w przedszkolu, a tak to praktycznie dopiero zaczęły się te odbiorniki pojawiać w domach. Rzeczywiście, jak przyniósł za tydzień, to w mojej głowie powstało w siódmej klasie, że trzeba się postarać o to, żeby zająć się tą bardzo interesującą dziedziną. I w ten sposób trafiłem do Technikum Mechaniczno-Elektrycznego w Rzeszowie do klasy elektronika przemysłowego. To były lata 1965–1970, lata, w których, akurat nie w tej klasie, to była elitarna klasa, wszyscy urzędnicy, przedstawiciele władzy w Rzeszowie, poza Rzeszowem, rodzice zdolnych dzieci, starali się, żeby tu się dostać. Nie będę tego szczegółowo rozwijał, ale dostałem się tutaj i w klasie elitarniej, w której od pierwszego dnia nauki wszyscy prawie myśleli o tym, w jaki sposób dostać się na studia. Taka była atmosfera. To było znakomite grono nauczycielskie z naszą wychowawczynią, panią

Danutą Śmietanką-Biel, nauczycielami fizyki, więc sprawy polityczne takie jak Marzec '68 nikogo nie interesowały. W technikum nie miałem praktycznie żadnego sygnału, bo połowa klasy uprawiała judo, połowa siatkówkę w Resovii. Sam byłem zawodnikiem juniorów w Resovii przez długi okres, przez ostatnie dwa lata na pewno tego technikum, ale jedna rzecz w technikum była takim ciekawym sygnałem, o którym warto powiedzieć. Otóż przymuszano wszystkich do tego, żeby klasa czy cała szkoła uczestniczyła w manifestacji 1 maja. To był standard w Polsce, ale również w tej szkole. Byliśmy zdziwieni, bo klasa bardzo szybko taki kompromis zawarła, że w tym roku połowa nosi szturmówki i przywraca je do szkoły, na drugi rok druga połowa. Właściwie to się bezszelestnie odbywało. Nauczyciele byli super zadowoleni, bo nie musieli tam szturchać wszystkich... Taka była umowa w tej klasie itd., ale z drugiej strony powstał taki sygnał, że zarówno nauczyciele, jak my jesteśmy przez jakąś siłę zmuszani do manifestacji, w której nie mamy ochoty brać udziału. Tak że z tej szkoły taki sygnał wyniosłem i że jest taka miękka sytuacja, że synowie tych pułkowników, którzy tam z nami chodzili, bo tacy też byli, zgadzają się na to, jest kompromis, udajemy itd., to taka już była sytuacja trochę rozmiękczona. I oczywiście to mocne parcie na zdobycie indeksu studentów było w tej szkole takie, że na 49 osób, to była duża liczba jak na tamte czasy w klasie, 45 uzyskało indeksy. I w 1970 roku zostałem studentem Politechniki Wrocławskiej. Pamiętam, że rodziców nie pytałem o to, czy dadzą radę, czy nie dadzą rady. Wrocław, duże miasto, odległość tutaj z Podkarpacia, a z drugiej strony taka okazja, żeby studiować elektronikę. Więc zapytałem rodziców, czy damy radę, bo w międzyczasie już była nas czwórka. Siostra Elżbieta, z którą chodziłem do przedszkola, później urodził się brat Stanisław, brat Zygmunt. Była czwórka, a ja w momencie, kiedy oni rozpoczęli szkoły średnie i uczyli się poza Rzeszowem, dla rodziców to było ogromne obciążenie. Ja ich pytam, czy damy radę, a rodzice do mnie: „Słuchaj, przywieź odpowiedź, czy zdałeś egzaminy, jesteś przyjęty, to zaczniemy się martwić”. Takich miałem rodziców fantastycznych. Pamiętam, że pojechałem do Wrocławia, przyjeżdżam, niesamowity deszcz przed moim powrotem do domu, taki mokry wchodzę i mówię: „Zdałem, jestem przyjęty” itd. Radość była wielka. Udało się jakoś tam potem ogarnąć rodzicom, nie wiem jak. Ale w każdym razie wszystkich nas kształcili, takie było przekonanie w tej miejscowości, że jest tu bezpiecznie, ale żeby poprawić sobie byt, to trzeba się uczyć, trzeba rzetelnie pracować itd. Stałem się studentem Politechniki Wrocławskiej. W znakomitym miejscu na znakomitym wydziale. Wymagania były duże.

Grzegorz Łeszczyński: To był rok 1970?

Roman Tabisz: Tak, rok '70. I ten okres tego studiowania to był istotnym okresem w moim życiu, ponieważ te cechy, o których wspominałem na wstępie, które zaczerpnąłem ze środowiska, w którym się urodziłem, zostały znakomicie rozwinięte we Wrocławiu. Z jednej strony zawodowo, studiowałem na znakomitym wydziale, który należał do elitarnej koalicji wydziałów elektronicznych w Polsce. Mieliśmy odrębne znaczki o kolorach czerwony, granatowy i zielony. Czerwony miał Wydział Elektroniki Politechniki Wrocławskiej, zielony Gdańskiej, a niebieski Wrocławskiej. Poczuliśmy się bardzo dobrze, chociaż mieliśmy bardzo spartańskie warunki. Na pierwszym roku studiów osiem osób w pokoju w akademiku w dawnych koszarach. Musieliśmy to znosić, ale nikt nie narzekał. Trudne były warunki, wymagające studia, trzeba było się uczyć, ale Wrocław rekompensował i Politechnika wszystko. Tak że w momencie, kiedy przyzwyczailiśmy się do tych warunków, nastąpił dość istotny sygnał polityczny, który przeżyłem pod koniec pierwszego semestru studiów. Wydarzenia grudniowe w Gdańsku, strzelanie do robotników, ofiary śmiertelne. Myśmy nic nie wiedzieli. Była tylko taka sytuacja, że zamknięto nas w akademiku. Na portierni wicedziekan, nie wychodzimy, tylko korzystamy ze stołówki, która była na miejscu, jesteśmy zamknięci. Jeden z kolegów wymknął się i pojechał do Gdańska, i wrócił. W związ-

ku z tym mieliśmy jakąś informację. I zorganizowano spotkanie studenckie na ten temat Grudnia ,70 w klubie akademickim, który się mieścił też w akademiku. I pamiętam wielogodzinne spotkanie w nocy, wtedy pierwszy raz poznałem Grzegorza Stachowiaka, który potem był liderem „Solidarności”, tymczasowych tych struktur w Koszalinie, ale jako starszy kolega o dwa lata, też student Wydziału Elektroniki, wystąpił z takim mocnym, krytycznym przemówieniem, krytycznym wobec rządu i krytycznym wobec władz uczelni, że zamknęli nas, sytuacja jest w Gdańsku, tu jest Wrocław, nikt nic nie organizował, a my jesteśmy zamknięci itd. Rozmowy trwały bardzo długo, tę noc pamiętam. I o 3 nad ranem student z jednego z krajów arabskich wstał i powiedział: „Nie martwcie się, ta sytuacja się musi rozwiązać. Pod jednym dachem nie mogą wiać dwa wiatry”. Zebranie się skończyło, potem się to jakoś ułożyło, studiowaliśmy dalej. Następne lata. Wrocław dla mnie to było miejsce, gdzie uzyskałem znakomite przygotowanie do życia zawodowego, a także do życia w małżeństwie i rodzinie. To drugie uzyskałem w Duszpasterstwie Akademickim Maciejówka. Prowadził je mój wuj, ksiądz Stanisław Mrozek, jezuita. Takich ośrodków wtedy było bardzo dużo w Polsce. Te ośrodki były bardzo dynamiczne. Tam się odbywały wykłady, prelekcje, spotkania. Mieliśmy taki kurs, nie kurs, tylko studium przygotowania do życia w małżeństwie i rodzinie, gdzie dwa lata to trwało. Znakomici prelegenci z całej Polski. I jeszcze opracowanie na koniec takie typowo akademickie. Więc te dwie sprawy, przygotowanie dobre do życia zawodowego i rodzinnego, wynoszę z Wrocławia. I na koniec studiów zawieram związek małżeński z Marią Mońkowską, którą poznałem w ośrodku akademickim, artystką, absolwentką dzisiejszej Akademii Sztuk Pięknych we Wrocławiu, wówczas Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych we Wrocławiu. I zamieszkujemy w Koszalinie. I lata ,75 do ,80 to są lata naszego wspaniałego rozwoju. Ja, najpierw zatrudniony w Naukowo-Produkcyjnym Centrum Półprzewodników, zupełnie nieprzypadkowo, bo tam odbyłem praktykę zawodową po trzecim roku studiów, tam uzyskałem stypendium fundowane wtedy, które było ratunkiem dla moich rodziców w dużym stopniu finansowym, ponieważ czwarty i piąty rok studiów mogłem utrzymywać się z tego stypendium, a jednocześnie wykonywałem pracę magisterską dla tego ośrodka. W momencie, jak ją skończyłem studia, praca magisterska została dobrze odebrana w tym ośrodku i rozpocząłem tam pracę. Od razu w swoim zawodzie, w dziedzinie metrologii elektrycznej. Najpierw byłem gestorem aparatury pomiarowej, a później, jak zlikwidowano ten ośrodek i przyłączono do Zakładów Przemysłu Elektronicznego Kazel, to awansowałem na kierownika Laboratorium Pomiarów Elektrycznych. A więc w drugim roku po studiach mamy już mieszkanie spółdzielcze, to odrębna historia, mieszkania spółdzielcze w tamtych czasach to było coś, 74 metry, u nas już dwójka dzieci, urodziła się Ania w ,76, Michał w ,79. Można powiedzieć, że pełny sukces po studiach. Cały ten okres ,75 do ,80 to są pierwsze te lata, w których normalnie bez żadnych zakłóceń rozwija się rodzina, ja mam bardzo dobrą pracę i niezłą pensję jak na tamte warunki, pracuję w swoim zawodzie, jesteśmy zadowoleni. Dwójka dzieci, rodzina, mieszkanie, dobra praca. I przychodzi rok ,80. I pierwsza połowa jest właściwie całkiem spokojna. Ja, korzystając z tego, że miałem uprawnienia do podpisywania umów z uczelniami, współpracowałem z Politechniką Gdańską i Wrocławską jako kierownik Laboratorium Pomiarów Elektrycznych, ale jednocześnie upoważniony przez dyrektora do podpisywania umów z uczelniami na wykonywanie specjalistycznej aparatury pomiarowej. W tym czasie działało biuro CoCom w Paryżu, które pilnowało embarga na aparaturę, którą chciały kupić kraje demoludów. W związku z tym nie było tej aparatury. Nawiązałem współpracę, miałem upoważnienie do odbioru tej aparatury i do wdrożenia. I dyrektor płacił, jak aparatura została wdrożona, faktura i dobranoc. Ale jak nie działało, to nie płacił. Miałem jeden taki przypadek. Ale miałem dzięki tej pracy naprawdę bardzo dobre opinie u dyrekcji. Dlatego że produkowaliśmy odpowiedzialne elementy, fragmenty obudów, podzespołów elektronicznych, same tranzystory, niektóre z nich były eksportowane do firm, które zajmowały się wojskową produkcją, więc tutaj odpowiedzialność była duża i była duża potrzeba w zakresie tej specjalistycznej

aparatury, za pomocą której można było jakość tych elementów ocenić, ponieważ firmy, które produkowały produkcję wojskową, narzucały bardzo ostre wymagania na te elementy i lepiej było to sprawdzać u siebie, niż jeździć na jakieś tam konfrontacje. I ta pierwsza połowa '80 roku tak przemknęła. Dopiero lipcowe strajki, które się rozlały po całym kraju praktycznie, ale skupione były wokół Lubelszczyzny i do dzisiaj na ten temat ja nie znalazłem wyczerpującego opracowania, a po tych strajkach pojawia się 14 sierpnia strajk w Stoczni Gdańskiej, które zapoczątkowuje cały ten proces okresu „Solidarności”. 14 sierpnia on wybucha, potem w tym samym miesiącu strajki w innym kraju, 25 sierpnia w Koszalinie pierwszy strajk się pojawia. Następuje coś, co jakby tamten okres tego sukcesu zawodowo-rodzinnego nagle rozwała. Następuje dla wielu osób, również dla nas, sytuacja kompletnie zaskakująca. Duży chaos w kraju. Małe informacje, ponieważ nie było środków przekazu, tak jak dzisiaj włączamy Google'a i tam sobie coś wygooglamy albo mamy YouTube'a. Te informacje teraz są tak, że można sobie poskładać, wtedy nie było. Radio Wolna Europa ze skrzępczących odbiorników. Ewentualnie wtedy, jak rozpoczęły się już te po porozumieniu gdańskim, sierpniowych, w tych porozumieniach, gdzie 21 postulatów tam zapisano, ale przede wszystkim zapisano powstanie Niezależnego Związku „Solidarność”. I tutaj mamy wrzesień, 10 listopada jest rejestracja tej „Solidarności”, ale w międzyczasie powstaje wiele struktur funkcjonariusze tam funkcjonują. No ale nic, pojechałem autobusem do siedziby biskupa. Kiedy podchodzę pod tę siedzibę, patrzę, ten sam Fiat zajeżdża tam z drugiej strony i jest zamiar takiego mnie zwinienia przed wejściem. To już wtedy moje obawy podniosły się do kwadratu. Więc ja zamiast do budynku biskupa na plebanie księdza proboszcza Borzyszkowskiego, który był w tym czasie kapelanem „Solidarności”. I wyluszczam mu sprawę, jaka jest. On mówi: „To poczekajmy, jak ten Fiat pojedzie, to pójdziemy”. I zaprowadził mnie do księdza biskupa, wyjaśnił, w jakim ja tutaj jestem celu. I pytam księdza biskupa, czy jutro będzie odprawiał mszę na terenie Kazelu. On mówi: „Pierwszy raz od pana to słyszę. Ani nie planowałem, nikt ze mną na ten temat nie rozmawiał, ani tej mszy nie będę odprawiał na terenie zakładu pracy, ktoś chyba tam powariował”. Więc wracam do firmy i mówię do Grzesia: „Grzesiu, komu ty powiedziałeś, że ja poszedłem do księdza biskupa?”. A on mówi: „No wiesz, tylko tutaj takiemu pomocnikowi Stanisławowi Sz.”. Nie będę mówił nazwiska, bo to należy sprawdzić, nie chcę mieć żadnych problemów. I co się okazało? Że właśnie ten, znalazłem w Encyklopedii „Solidarności” odnośnik literaturowy Stanisław Sz., emerytowany pułkownik SB. Jego notatka na jakiś tam temat była tutaj i jest w tej encyklopedii. To miałem jasność, że cała ta impreza to była zorganizowana w porozumieniu i była to prowokacja, na temat wydarzeń bydgoskich prawdopodobnie będzie dużo książek i tam zostaną wyjaśnione te wszystkie niuanse, jak to było, ale w moim osobistym przeżyciu opowiadam o tym, bo takie fakty były, w których uczestniczyłem, a te fakty nie są nigdzie zdokumentowane. Po wydarzeniach bydgoskich następuje taki trochę oddech. Tworzą się tam tymczasowe zarządy, miejskie komitety założycielskie, ale jak wspominają w encyklopedii, tu czytałem, z tamtych czasów ci przywódcy, to na dobrą sprawę oni nie bardzo byli świadomi, nie dysponowali takim czymś, co się nazywa tożsamość. Po co to robią, tak? W związku z tym rozpoczął się okres oczyszczania tego. Rok '81 od marca to jętmczasowych. Na przykład w Koszalinie powstaje Międzyzakładowy Komitet Założycielski. I na jego czele staje ten właśnie Grzegorz Stachowiak, którego poznałem na Politechnice Wrocławskiej. Odważny człowiek, który w tamtych warunkach przejął przewodnictwo takiego, 16 zakładów założyło taki Międzyzakładowy Komitet Założycielski, delegacja do Gdańska, poparcie Lecha Wałęsy i takie różne tam sprawy. W tym okresie ja trochę nauczony, jak mówiłem, przez dziadka tej roztropności, specjalnie się w te struktury tymczasowe nie angażowałem, ponieważ miałem takie podejrzenie, że jest to znakomita okazja, żeby przetykać te struktury funkcjonariuszami, co zresztą w tych opracowaniach tutaj, jak się czyta te zgromadzone w IPN-ie dokumenty Służb Bezpieczeństwa, to widać, że zainteresowanie było głębokie i że wstawianie tych swoich agentów było szerokie. Poza tym chciałem być odpowie-

działny dla rodziny, że nie będę narażał ich na to, że mnie tu zaraz po dwóch dniach jakiejś tam, nie wiadomo, działalności aresztują i ja zostawiam rodzinę bez środków do życia, jeszcze w strachu, bo nie wiadomo, gdzie się znajdę. Więc wyczekałem do grudnia. Jak 10 listopada zarejestrowano „Solidarność”, to wpisałem się do zakładowej najniższej komórki „Solidarność”, która zamierzała robić wybory Komisji Zakładowej. I stałem się członkiem „Solidarność”. Około 30% wtedy członków „Solidarność” w Zakładach Przemysłu Elektronicznego „Kazel”, największych w Koszalinie, 1500 pracowników, około 30% to byli członkowie PZPR-u. To było bardzo dla nas ciekawe i myśmy nie konfrontowali się wewnątrz „Solidarność”, co było bardzo ciekawe. I skończyło się np. taką sytuacją, że Komitet Wojewódzki wezwał dyrektora, dlaczego nie ma tutaj tej przewagi członków PZPR-u, a dyrektor po jakichś tam wyborach do Rady Zakładowej czy do czegoś, ale on mówi: „»Solidarność« nic nie blokowała. Wybrani zostali ci, których uważano za słusznych. Tak jest procent partyjnych z tych 1500 osób i taki się odbił w Radzie Pracowniczej, wobec czego dlaczego narzekacie?”. Tak jest. W każdym razie jak nastąpiły te wybory do Komisji Zakładowej, nagle niespodziewanie się znalazłem w Komisji Zakładowej i powierzono mi prowadzenie audycji w radiowęźle zakładowym, który dyrekcja nam udostępniła. To znaczy mieliśmy ograniczony czas i wyznaczone terminy, kiedy możemy głosić, ale członkowie „Solidarność” uznali, że ja mam odpowiadać za to. Wywijałem się z tego całkiem nieźle. Miałem do współpracy jeszcze taką koleżankę. Prowadziliśmy tę audycję i jeszcze dodatkowo zostałem zachęcony do tego zaangażowania, bo w tym momencie zacząłem się angażować na 100%. Miałem funkcję bardzo odpowiedzialną, bo media wtedy to było raz, że nagrywano nas tam non stop, a oprócz tego to było się wtedy podpadniętym kompletnie. I zachęcił nas jeszcze do tego zaangażowania ksiądz biskup Ignacy Jeż, ówczesny ordynariusz diecezji koszalińsko-kołobrzeskiej, który organizował takie spotkania opłatkowe i wielkanocne, święcone dla grupy około 60–80 osób zaangażowanych w Kościół w Koszalinie, pracowników różnych instytucji. I między innymi tam uczestniczyłem w takim spotkaniu opłatkowym na przełomie ,80/'81. I wtedy biskup wyraźnie zachęcał, powiedział: „Teraz jest czas, gdzie należy się angażować i wprowadzać zasady etyki katolickiej oraz nauki społecznej Kościoła do tego związku, w którym różne rzeczy się dzieją. I trzeba tam właściwe postawy reprezentować”. A drugą zachętą był list od mojego profesora, bo pod koniec ,80 roku otworzyłem przewód doktorski na Politechnice Wrocławskiej. Wtedy profesor napisał mi, gdzieś tak w pierwszych tygodniach stycznia ,81: „Panie, doktorat odkładamy na półkę, teraz jest pan potrzebny w »Solidarność«”. I te dwie zachęty z ważnych punktów dla mnie, bardzo szanowanych przeze mnie przez lata i do końca, były dla mnie taką zachętą, że nie należy tutaj wybierać, trzeba twardo iść do przodu. Wszystko fajnie szło, ale do wydarzeń marcowych. W czasie, gdy pobito Jana Rulewskiego i dwóch chyba jeszcze innych działaczy tam w Bydgoszczy, tak, wydarzenia bydgoskie, potem był strajk ostrzegawczy 4 godziny i miał być strajk ogólnopolski. W tym momencie, w którym jest ogłoszony ten strajk ostrzegawczy w Koszalinie, jestem w pracy, o godzinie 14 w gabinecie dyrektora lokuje się Tymczasowy Zarząd Regionu, m.in. z Grześkiem Stachowiakiem, który był już dla mnie znaną osobą. I we mnie wzbudziła się jakaś wątpliwość. No jak to jest możliwe? Znam dyrektora, który przeżył, nie będę tu opowiadał, ale przeżył bardzo trudne okresy swojej pracy, był facetem mocnym, nie pozwoliłby sobie na zajęcie gabinetu. Straż przemysłowa w naszym zakładzie bardzo dobrze funkcjonująca jak mogła wpuścić Zarząd Regionu do gabinetu dyrektora i udostępnić teleks? Zaczęło mi to wszystko pachnieć czymś takim, właśnie ta przestroga dziadka ciągle była tam w mojej głowie, że nie trzeba być emocjonalnie nastawionym, trzeba myśleć. Poszedłem do Grzegorza i mówię: „Słuchaj, Grzesiu, co tu się dzieje?” A on mówi: „Nic, będziemy robić strajk generalny, a jutro ksiądz biskup Jeż odprawi mszę na terenie zakładu pracy i trzeba by to ogłosić w radiowęźle”, bo wiedział, że ja się zajmuję tą emisją audycji. To mi już w ogóle podpadło. Mówię: „Grzesiek, nie, to ja najpierw się skontaktuję z biskupem i to zweryfikuję, a później ogłoszę”. No i wyszedłem. Wychodzę, a przed budynkiem

zakładu Kazel stoi biały Fiat i widzę, że to na pewno funkcję przygotowanie do Walnego Zjazdu Delegatów Regionu, które miało wybrać legalny Zarząd Regionu, które miało wybrać delegatów na Pierwszy Krajowy Zjazd, który również wybierał przewodniczącego. No i to się rozciągnęło aż do prawie października. W Koszalinie ku mojemu zdziwieniu zostałem delegatem na walne zebranie. I to największą ilością głosów. Być może to, że zajmowałem się mediami, że byłem gdzieś słuchany, zadecydowało, ale nie tylko, bo wydaje mi się, że pewne cechy, które reprezentuję do dzisiaj, były pozytywnie oceniane przez ludzi. Zresztą mam taki dowód. Kiedy opuszczałem firmę, jedyną osobą, która podeszła do mnie, żeby się pożegnać, był autentyczny zwolennik marksizmu. Literat taki, który wydawał tomiki, wiersze, podarował mi swoje wiersze z adnotacją: „Człowiekowi, który daleko wybiegał w przeszłość”, i miał rację. Zostałem wybrany na ten zjazd. Na tym zjeździe, który tam miał kilka tur, wybrano delegację na Krajowy Zjazd. Znalazłem się w tym gronie, również wybrany na tym zjeździe. Nie jako tymczasowy, tylko w trybie wyborów reprezentantów z całego regionu. I zrobiono mnie przewodniczącym delegatów Regionu Pomorze na Pierwszy Krajowy Zjazd „Solidarności”. Na zjeździe były przeróżne wydarzenia, to było duże zgromadzenie z całej Polski, ludzi nieprzygotowanych, ja też nie byłem do niczego przygotowany, to była po prostu działalność z konieczności w nadzwyczajnych okolicznościach. Ja się nigdy nie zajmowałem polityką ani takimi sprawami, ale uważałem, że jeżeli tyle osób popiera i tu jest taki ruch, to on musi coś przynieść, to jest nie tylko dla układu politycznego, ale i dla mojej rodziny, dla moich dzieci. Taka była świadomość wtedy. I dlatego tak się to mocno pamięta, bo byliśmy w tym nurcie emocjonalnie bardzo wkomponowani. Pamiętam te zawody, tu Jurczyk 200 głosów, Wałęsa tam trochę ponad 50, szalała SB i po prostu. Kiedy wróciłem między pierwszą a drugą turą zjazdu, rodzi się nasze trzecie dziecko, Małgorzata, więc mieliśmy z żoną w tym czasie naprawdę kompletne zawirowanie. Ale nie narzekaliśmy, uważaliśmy, że to jest nadzwyczajna sytuacja, że trzeba itd. Żona nie narzekała, chociaż miała kłopoty, bo kartki wtedy się pojawiały. Były bardzo duże utrudnienia, żeby taką rodzinę tam utrzymać. Pamiętam, jak najstarsza Ania, która już miała tam 5 lat chyba, czasami do pobliskiego sklepu była wysyłana i miała nacisnąć chleb, czy on jest miękki, to wtedy żeby kupić, bo okazało się, że jest rotacja, myśmy o tym nie wiedzieli, rotacja z magazynów wojskowych, gdzie świeży chleb ładował, a ten został dystrybuowany do sklepów. Wspominałem o magazynach wojskowych. Okazało się, że myśmy nie przewidywali, wszyscy w entuzjazmie, Wałęsa, przewodniczący, ułożona Komisja Krajowa, wybrana na pierwszym zjeździe, przewodniczący naszego regionu jest członkiem KKW. Wszystko poukładało się zgodnie z porozumieniem, nikomu do głowy nie przychodziło, że w tym czasie władza przygotowuje stan wojenny. W głowie nie mieliśmy tego. I nagle budzimy się 13 grudnia i ciągle powtarzają komunikat Jaruzelskiego, że Wojskowa Rada Ocalenia Narodowego ogłasza stan wojenny. Aresztowano wtedy kilka tysięcy ludzi. Praca polegała na tym, w radiowęźle zakładowym, że dyrekcja honorowała wybory i legalną „Solidarność” i Komisję Zakładową, która została wybrana zgodnie z zarejestrowaniem całego związku w kraju, i uważała, że udostępnia nam odpowiednie czasy, powiedzmy to, radiowęzłowe. Czyli mieliśmy tam w któryś dzień tygodnia, dwa czy trzy dni tygodnia, określoną godzinę, o której zawsze o tej samej porze był nasz komunikat. I ja z koleżanką przygotowywałem ten komunikat na podstawie ulotek, zastrzeżonych informacji, ale raczej sprawdzonych. Myśmy do końca pozostali wiarygodni, że nie siejemy zamętu, dyrekcja miała do nas zaufanie, mieliśmy takie ciche porozumienie, ponieważ był wydział cyjaneków, pokrywaliśmy te elementy złotem. Dyrektor poprosił Komisję Zakładową, żeby przyjąć takie wspólne ustalenie: na tym wydziale nie ma żadnych akcji strajkowych. To groziło normalnie śmiercią wielu osób. Jeżeli tam by się podziały jakieś sprawy, tam były kadzie z tym, w każdym razie dyrekcja nie sprzyjała nam, tak żeby, powiedzmy, nas popierała czy coś takiego, ale uważała, że oddaje nam te godziny, my przygotowujemy komunikaty i na bieżąco informujemy. Z tego Tymczasowego Zarządu Regionu, jak i później z tego Zarządu Regionu, na czele którego

stanął Paweł Michalak, wybrany na tym walnym zgromadzeniu, otrzymywaliśmy informacje. Oni otrzymywali z krajówki, my staraliśmy się nie opierać na informacjach, które były niedrukowane i niesygnowane. Więc utrzymaliśmy jakoś do końca tę wiarygodność w tym i nie wyrzucano nas.

Grzegorz Łeszczyński: To nie było żadnej cenzurze poddane?

Roman Tabisz: Nie. Właśnie co było ciekawe i wiele osób o to pyta, czy ktoś przed naszą emisją kontrolował nas? Nie. Tutaj była taka sytuacja, że mieliśmy do siebie zaufanie, zarówno dla członków „Solidarności”, jak i dyrekcja uważała, że nie siejemy zamętu, tylko informujemy o tym, co się dzieje i co się stało, i o faktach. Staraliśmy się mówić o faktach. Włączaliśmy czasem jakiś materiał historyczny, jak była możliwość. Natomiast nie atakowaliśmy strony rządowej w sposób otwarty, ponieważ było porozumienie sierpniowe. Związek został zalegalizowany. Działał, mógł się wybierać na walnym zgromadzeniu wojewódzkim. Potem był Krajowy Zjazd. Wszystko wyglądało, że to funkcjonuje, a nikt nie przewidywał, że pojawi się stan wojenny. Do stanu wojennego, do ostatniego dnia mogliśmy tam działać. I jeszcze była taka sytuacja, że w momencie, kiedy ogłoszono stan wojenny, to była niedziela 13, ja jeszcze 14 poszedłem do pracy. Już wtedy audycji nie wykonywałem, tylko dostarczyłem dyrektorowi moją wizytówkę z prośbą. Powiedziałem: „Panie dyrektorze, niewykluczone, że zwiną mnie lada chwila. W domu zostaje żona z trójką małych dzieci, a jedna ma dopiero trzy miesiące. Proszę pana o pomoc, jaka będzie możliwa. Żona w przypadku mojego aresztowania przyjedzie z taką samą wizytówką. To będzie pan miał informację, że to nie jest jakaś pomyłka czy jakiś bluff, tylko te dwie wizytówki jak się spotkają, to pan będzie”. I rzeczywiście, przyznam, że dyrektor zadziałał, ale to za chwilę. W tym samym dniu, po południu, rozpoczynały się rekolekcje w kościele św. Józefa w Koszalinie. I ja na te rekolekcje pojechałem gdzieś tak o 18. Wychodząc z tych rekolekcji, postanowiłem również odwiedzić księdza biskupa Jeża i też mu wręczyć taką samą wizytówkę, i powiedzieć, że żona się zgłosi z taką wizytówką, będzie ksiądz biskup pewny, że to jest informacja o tym, że mnie nie ma, że jestem aresztowany i proszę o pomoc dla rodziny. A ksiądz biskup mówi tak do mnie: „Czy pan jest gotowy na to, że pana zaaresztują?”. Ja mówię: „No tak, dlatego przyszedłem tutaj”. „To nie będzie się pan bał, jak będą pana aresztować, bo to jest nieuchronne”. Wychodzę z domu biskupa, patrzę za rogiem, już głowa się wychyla, jestem śledzony, aha, pętla się zaciska. Ale poszedłem na przystanek, zamierzam wrócić do domu. Spotkałem dwóch współpracowników z Kazelu, ojca i syna, którzy mieszkali w sąsiednim bloku. I w momencie, gdy autobus podjechał, podjechał pod niego, zajechał mu drogę biały Fiat, wyskoczyło dwóch cywili, wzięli mnie pod pachę i buch do tego Fiata. Miałem zniknąć. Taki był zamiar, że wypuszczają mnie, co ja będę robił, czy będę w tych strukturach, które się zaczęły tworzyć, czy gdzieś już jestem ulokowany. To była obserwacja, co się dzieje, a potem miałem być postrachem. Postrachem dla tych, którzy by coś próbowali, oraz dla rodziny stresem, dlatego że miałem zniknąć i nie miało być o mnie żadnej wiadomości. Nie przewidzieli, że ci ludzie byli, sąsiedzi, współpracownicy z zakładów Kazel, byli na tym samym przystanku, wobec tego oni jak dojechali autobusem, zaraz do żony poinformowali i żona wiedziała już wieczorem, że jestem zwinęty. Zawieziono mnie na komendę, ulokowano w celi z takim współwięźniem, to ja założyłem, że to jest ucho, które ma tam nadawać, co ja mówię, ale dużo nie rozmawiałem, bo nie było potrzeba, ten współwięzień opowiadał mi, że był tu taki działacz „Solidarności”, ale on tak narzekał na tę „Solidarność”, wypuszczał mnie trochę tak, żebym coś zaczął. Ale w momencie, gdy klawisz wrzucił mi do zjedzenia na kolację zamrożoną kaszankę, to powiedział: „Pan musi być kimś ważnym, bo tutaj się takie rzeczy nie dzieją, żeby dostać zamrożoną kaszankę na kolację”. Byłem na tej komendzie, żona na następny dzień pojechała do dyrektora. Dyrektor się znalazł na miejscu, pojechał na tę komendę.

I powiedział, że żona jest bez kartek, bo mój portfel był razem ze mną, nie ma z czego żyć, troje dzieci itd., jakoś tam ich uprosił, że wyciągnięto z mojego portfela te kartki, oddano. I jeszcze poprosił, żeby pokazali, czy ja jestem. Więc jakoś tak zaaranżowali, że mnie widział z tyłu, ale nie powiedzieli, że 16 będą mnie wywozić do Ośrodka Odosobnienia w Wierzchowie. Więc żona odebrała te kartki, upewniła się, że jestem w Koszalinie na chwilę, po czym mnie wywieziono, o czym żona nie wiedziała. I zawożą nas, to jest ośrodek kilkadziesiąt kilometrów od Koszalina położony, ośrodek odosobnienia. Jedziemy takim dużym samochodem, tak zwaną budą milicyjną. Są eskortujący nas funkcjonariusze i ku naszemu zdziwieniu w połowie drogi do nas mówią: „Słuchajcie, wy w tej »Solidarności« macie rację, tylko robicie to za szybko i władza musiała tak zareagować”. Zbaranieliśmy trochę, bo było nas tam chyba czterech, był przewodniczący regionu również. Zapakowali nas tam do celi. Ja trafiłem do celi właśnie z przewodniczącym regionu, z Edwardem Dziemidowiczem z Białogardu, z Andrzejem Chorążym z Kołobrzegu. Jesteśmy w czwórce. Ale z góry założyłem, że musimy mieć podsłuch, jak jest przewodniczący regionu, ja delegat na pierwszy Krajowy Zjazd, szefowie innych organizacji „Solidarności”, to tutaj po pierwsze jest podsłuch stuprocentowo, a po drugie któryś z nas może być uchem, bo jak go złamali i będzie raportował, no to... Miałem duże zaufanie i do dzisiaj mam do Pawła Michalaka, więc ustaliliśmy, że rozmawiamy ze sobą tylko na spaceru i zawsze idziemy jeden za drugim, albo ja pierwszy, albo on. I tyle rozmów jest między nami, natomiast w celi wykonywaliśmy z papieru ozdoby choinkowe, jakąś tam nam dostarczono gałąź jodłową, więc ubieraliśmy przez te kilka dni tę choinkę i nie rozmawialiśmy o niczym. Dotarliśmy do dnia 23 grudnia, ale w międzyczasie miałem ciekawe przesłuchanie. Zaproszono mnie do takiego gabinetu, a tam taki facet w wieku około 60 lat, małe okulary, akcent wschodni. I zaczął mnie tam maglować o różne sprawy, do czego dążymy itd. w tej „Solidarności”. I wtedy zrozumiałem i trochę mi włosy stanęły dęba, że nie tylko nasze służby, ale inne służby zajmują się nami. Potem się okazało, że te inne służby zaaranżowały dla kolegów, którzy zostali w Wierzchowie, wyjazd na lotnisko do Szczecina autobusem, że ich wywożą na Syberię. A wśród tych ludzi był człowiek, który był na Syberii jako mały chłopak. W czasie tej jazdy posiłki w 100%. Ktoś zdecydował, że taki zrobi postrach, ale to już później. Więc 23 wieczorem, zimno, -16°C mrozu, śnieg po kolana, każą nam się ubrać. Andrzej Chorąży z Kołobrzegu, ja i jeszcze tam 6 osób. Wypuszczają nas z tego ośrodka na piechotę. Kilka kilometrów do pierwszej stacji kolejowej, my tam walczyliśmy z tym śniegiem, ale doszliśmy. Jakoś dojechałem po północy do domu, do Koszalina. Dostałem się też na piechotę z dworca. Zmarznięty na kość, zasnąłem takim kamieniem, że jak ojciec, który przyjechał z Podkarpacia sprawdzić, co się ze mną dzieje, bo nie było przecież wtedy komunikacji takiej jak teraz, komórki itd., chciał się naocznie przekonać, on mnie podobno po brodzie głaskał, a ja spałem zabity. Przywiózł nam trochę wędliny, którą sam wykonał, bo w sklepie były tylko kartki. Więc taki był ten moment. Oczywiście w domu radość, nie muszę tego podkreślać. W każdym razie na Święta Bożego Narodzenia zostałem wypuszczony. Do dzisiaj nie wiem, kto zainterweniował. Dogrzebałem się do jakichś informacji, że to było 800 osób, które Episkopat jakoś wynegocjował. Niewykluczone, że ksiądz biskup Jędrzejko też wynegocjował z miejscowymi władzami, że tam jest żona, trójka dzieci itd., może jakiś humanitarny odruch się pojawił. W każdym razie zostałem uwolniony. Zaraz po świętach przychodzi do mnie list od profesora Jelonka z Politechniki Wrocławskiej z takim tekstem: „Panie, nie ruszaj pan palcem »Solidarności«. Jest pan teraz na widelcu, zabiera się pan za pracę doktorską”. Całe 4 lata od tego momentu skupiłem się tylko na tym. I w lutym 1984 roku uzyskałem dyplom doktora nauk technicznych na Politechnice Wrocławskiej. I ten okres 1984–1989 to jest zaangażowanie w Klub Inteligencji Katolickiej, ale jeszcze dwa słowa o tym doktoracie. Kiedy w ’85, czyli w tym okresie 1984–1989, miałem okazję wyjechać na Kongres Pax Romana do Innsbrucku, musiałem się zgłosić po paszport do Urzędu Paszportowego, bo nie mieliśmy paszportów w domu. I w momencie, gdy ja się zgłaszam, zostaję skierowany do gabinetu. I witają mnie pułkownicy, dwóch

pułkowników, SB. Ja jestem zaskoczony, o co chodzi. Ja przyszedłem po paszport, a tu jestem... Pierwszy raz z SB mam do czynienia, a oni do mnie takim tekstem: „Czy pan sobie wyobraża, co pan nam narobił? Pan nie powinien otrzymać paszportu. Czy pan wie, jak Warszawa nas zmieszała z błotem, że nikt nie wiedział, że pan robi doktorat?”. Wtedy zrozumiałem, że wcale nie musiałem tego dyplomu otrzymać. Gdyby SB wiedziało, ale mój przeznaczonego profesor Jelonek, któremu zawdzięczam wiele, i to opisałem w książce z okazji jego stulecia, tę sprawę, więc można tam przeczytać. W momencie, gdy ja mu przywiozłem opracowany doktorat, który zawierał opracowanie systemu pomiarowego, który zbudowałem dla mojej firmy, oraz rozwiązanie problemu oceny jakości elementów, które produkowaliśmy, z bardzo pozytywną opinią dyrektora Naukowego Produkcyjnego Centrum Półprzewodników, profesora Włosińskiego, ja przywożę to do pana profesora, a on mówi tak: „Proszę pana, jeżeli chciałby pan uzyskać doktorat, to proszę zaprzysiąc żonę, że nie powie najbliższemu, nawet swojej mamie o tym, że pan będzie bronił pracy doktorskiej. Do momentu, dopóki się nie ukaże komunikat w prasie wrocławskiej, że pana obrona pracy doktorskiej będzie w dniu takim i takim o takiej godzinie”. Bo to jest taka procedura, że się ogłasza w prasie, że jest otwarta obrona pracy doktorskiej. Więc wtedy się już na 100% przekonałem, że to wcale nie do końca tak było, że merytoryczne względy decydują i recenzje recenzentów, tylko jeszcze SB miało zadecydować o tym doktoracie. Ale w 1984 po tym doktoracie zostałem wybrany prezesem Klubu Inteligencji Katolickiej w Koszalinie. Byłem współzałożycielem tego klubu. Ten klub powstał na grupie właśnie tych ludzi, których gromadził ksiądz biskup przez te spotkania opłatkowe i święcone przy Wielkiej Nocy. Wybrano mnie prezesem, przez 6 lat byłem tym prezesem. Główną naszą działalnością, oprócz wewnętrznych spotkań i formacji, tam analizowaliśmy na zlecenie biskupa dokumenty Soboru Watykańskiego, przygotowywaliśmy opinie na temat synodu dotyczących świeckich, biskup chciał mieć materiał od ludzi, którzy są świeckimi, a nie od samej hierarchii, porządne roboty robiliśmy. Było akurat takie grono, które się nadawało do tego. Ale oprócz tego co roku organizowaliśmy dla Koszalina Tygodnie Kultury Chrześcijańskiej. To były wydarzenia na najwyższym poziomie. Dla przykładu, w jednym z tygodni organizujemy Krajową Wystawę Sztuki. Znakomita impreza dla środowiska artystów, a jednocześnie sympozjum twórców i krytyków sztuki na terenie Koszalińsko-Kołobrzeskiego Seminarium Duchownego, prowadził profesor Jacek Woźniakowski. Znakomita impreza do tego środowiska, jeszcze w tym tygodniu mieliśmy informację, że jeżeli mamy jakieś materiały, ktoś chce napisać o tym, bo to przepadło itd., jeszcze teraz chcą ludzie o tym opowiadać. Taki był rezonans i taka była odpowiedź tego środowiska, które bardzo ceniło to wydarzenie. Drugie wydarzenie to była wystawa, pastel pierwszego cyklu, pastel mojej żony, „Apokalipsa św. Jana” w parafii Ducha Świętego, gdzie proboszczem był ksiądz Kazimierz Bednarski. Oprócz wystawy był wykład profesor Anny Świderkówny na temat „Apokalipsa księgą nadziei czy rozpacz?” i dodatkowo to jeszcze zadziałało na byt naszej rodziny, ponieważ po obejrzeniu tej wystawy, po konsultacji slajdów z gronem biskupów koszalińsko-kołobrzeskich ksiądz biskup zamówił duże formaty olejne cyklu Apokalipsa, które żona kilka lat malowała, a obecnie stanowią stałą ekspozycję w Kołobrzesko-Koszalińskim Seminarium Duchownym. Innym przykładem tego tygodnia to był wykład księdza profesora Józefa Żyćńskiego na temat filozofii marksistowskiej. Podobnie, 300 osób uczestniczących, tak jak na tamtej wystawie. I po kilku dniach sygnały z Wyższej Szkoły Inżynierskiej z Koszalina, gdzie Komitet Uczelniany PZPR-u zebrał się, żeby przedyskutować to, co było tam mówione. I dociera do nas taka informacja, padło tam takie zdanie na tym spotkaniu Komitetu Uczelnianego. „Skąd u nich taka świeżość? A u nas to ciągle jest to staroświeckie hasło”.